Rok I. Kraków, dnia 20 Grudnia 1882 r. Nr. 18.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwartalnie 1 złr. 50 ct.
Z przesyłką w Austryi: rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.
W Wielkopolsce: z przesyłka rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

PISMA ILLUSTROWANE.

W ostatnim zeszycie Przeglądu znajduję wzmiankę o illustracjach i bardzo usprawiedliwioną uwagę, że dziś się częściej spotkać można z artykułami dorabianemi do rysunków, niż z illustracjami robionemi do artykułów.

Zarzut ten nietylko naszym pismom illustrowanym da się uczynić, stosuje się on i do niemieckich, francuzkich itp. najwspanialszych wydań, takich jak: Włochy, Szwajcarja, Hiszpanja, w których artystyczna strona jest samoistniejszą i o wiele przewyższa literacką.

Razi to i odejmuje wartość wielu nowym publikacjom, których na serjo wziąść nie można, ale uważać należy jako piękne albumy z objaśnieniami ladajakiemi; — najgorzej jednak wychodzą na tem pisma perjodyczne illustrowane, których obyczaj ten naturę, charakter, zadanie zmienia i czyni je nie pismami *czasowemi* illustrowanemi, ale magazynami obrazkowemi.

Pisma perjodyczne illustrowane treści encyklopedycznej, nie poświęcone wyłącznie sztuce lub jakiej gałęzi nauk, przemysłu itp. — mają na celu z pomocą rysunków dawać obraz życia współczesnego, w najgłówniejszych jego i charakterystyczniejszych objawach. Obowiązkiem więc ich chwytać rzeczy współczesne, starając się a to, aby one karmiły czytelników pokarmem świeżym.

Wybór tego pożywienia—*menu* tych tygodniowych uczt, pozostawiony jest redakcjom,—pole niesłychanie rozległe, tylko w porze raków trzeba mieć raki, a gdy szparagi przychodzą, częstować niemi. Zresztą mogą do smaku, upodobań i ciekawości a stopnia wykształcenia swych czytelników się stosować, bo są i tacy co przepadają za ptakami, są co wymagają narodowych flaków i patrjotycznego barszczu lub chłodniku...

Kwestja illustracyj powinna być jak najściślej związana z redakcyjną, a nie stać oddzielnie. Każda potrawa wymaga przyprawy właściwej, chrzanu, musztardy, piklów itp. Tymczasem musztarda —illustracja zjawia się w postaci nabytego klisza, ładnego może, ale niewiele kogo obchodzącego drzeworytu i stawi na stole dla przyozdobienia go...

Najczęściej jest to niby dzieło artystyczne, obraz, studjum, kompozycja jakaś, które jeżeli istotnie są piękne, nowe itp. wtenczas mile się je wita, ale też bardzo często ten owoc sztuki jest robaczliwy i zwiędły, a zajmuje miejsca wiele...

Tu właśnie o kwestji rozmiarów illustracyj da się coś powiedzieć. Nie zwraca się wcale uwagi na to, aby treść i znaczenie obrazka odpowiadało wielkości jego. Artysta rysownik opłacany od cala, stara się illustrację zrobić jak najogromniejszą, choć jego kompozycja zmniejszona zyskałaby na sile i efekcie. Całe często stronnice zajmują widoki gmachów, ścian, na których niema żadnych szczegółów architektonicznych, ani gry światła... ani

KRONIKA.

A to się Kraków ubawił za wszystkie czasy! Życie drgało przez cały miesiąc przyspieszonem tętnem i jeszcze najmniej cały tydzień drgać będzie. Oprócz trzech wielkich pogrzebów (dwa z muzyką), mieliśmy tyle oznak życia, zacząwszy od śmierci starej Reformy i zamordowania Słowika, a skończywszy na gwałtownem spadku rubla i samobójstwie studenta medycyny — że z dumą i poczuciem godności może Kraków podkręcić wąsa, ująć się pod boki, spojrzeć w oczy Wiedniowi i Warszawie i rzucić im pytanie: no — i cóż wy na to? hę?

Nie uprzedzając jednak wypadków, jak przystało na kronikarza, kolejno się im przypatrzę, uczyniły one bowiem z Krakowa istną «wyspę wszelkiej pomyślności,» jakiej opis pozostawił nam Żółkowski w Momusie. A lubo w doniczkach nie rośnie u nas jeszcze «bigos lub potrawka z kury,» lubo nie dają jeszcze.....

— bogatych sukni w różne cukry tkanych,
Kieszeni dużych, licznych gruszkami napchanych;

to w każdym razie miejmy nadzieję, że przyjdzie do tego, iż

Gdy kto kichnie przy stole, zdarzenia nie stracą:
I sto tysięcy życząc zaraz mu zapłacą.

Otóż tedy awantura fürstenhofska przeszła w stadjum dojrzałości i spokoju. Farsa była dobrze pomyślaną i wykonaną, a że nie było w niej wiele sensu, jak to wreszcie jest wszystkich fars zaletą, nikt niema prawa się gniewać, a najmniej publiczność krakowska, która się zabawiła tak treścią farsy jak i pełną komizmu grą aktorów. Rezultat tej awantury nadzwyczaj mały, bo czy kto nazwie Kaśkę Kachną, a Maryśce doda drugie imię z tyłu, to zawsze Kaśka będzie Kaśką, a Maryśka Maryśką. Nie będzie z organisty proboszcz, ani z proboszcza organista, choćby tego chciała sama gospodyni.

Zresztą od farsy tej odwróciła się uwaga publiczności do krwawego dramatu. Ludzka to rzecz bawić się wszystkiem, choćby morderstwem. I choć zabójstwo Słowika przeraziło, to jednak w gruncie rzeczy ucieszyło nowiniarzy krakowskich i gawiedź uliczną. Rzadko zasłużonemu człowiekowi zdarzy się ujrzeć tłumy wybiegające na jego przyjęcie — nie każdemu być Czarnomskim, podejrzanym o morderstwo. A gdy się dowiedziano, iż podobno panowie X. Y. Z. byli kandydatami do «szczęśliwej śmierci» z rąk bandy złoczyńców — uciecha granic nie miała. Widziałem tylko paru żałujących, że nie są na liście «ofiar,» gdyż to daje niejakie stanowisko, powiększa kredyt osobisty i czyni człowieka interesującym. Pamiętam jak jeden z moich kolegów uniwersyteckich, kandydat na doktora medycyny, chirurgji, akuszerji i innych nieprzyzwoitości, okradziony ze srebrnego cylindra i dwóch par nie-rękawiczek, rozgłosił o stracie zegarka złotego, trzystu reńskich w gotówce i jednej akcji Karola Ludwika — co mu taką opinję na giełdzie wyrobiło, że pan Izaak Wucherbaum pożyczył mu natychmiast z «grzeczno-

nic coby taki szafunek papieru usprawiedliwiło... Ale zatyka się tym sposobem stronnica jedna lub dwie... a jeźli klisz nie drogi— wszystko w porządku. Czytelnik patrzy na ten olbrzymi klasztor, którego architektura nic mu nie mówi, lub na studjum głowy turczynki, arabki itp., w której więcej jest fantazji niż prawdy, dziwuje się, ziewa i idzie dalej. Czasami w ciągu roku trafia się taki cały numer, w którym dobór illustracyj sprzecza z się tekstem i ani artystycznem wykonaniem, ani zastosowaniem do chwili się nie tłumaczy.

Ale — bywają pod koniec roku, na początku i bardzo piękne drzeworyty, kosztowne, okazałe, zbytkowne, które to tylko wrażenie czynią, że inne przy nich wydają się biedniejsze jeszcze.

Pismo illustrowane bez zaprzeczenia musi smak kształcić i dawać wiele utworów artystycznych — ale przy swej treści encyklopedycznej nie może się ograniczyć studjami głów i scenami historycznemi, potrzebuje rzeczy z życia wziętych, życiem kipiących.

Tu już niepodobna dawać rzeczy wykończonych, pośpiech jest konieczny warunkiem, więc powinny to być szkice *dobrze narysowane (sine qua non)* rozmiarów nie zbyt wielkich... pochwycone żywo, z werwą i poczuciem natury na papier rzucone.

Im więcej ich tem lepiej,—przesadzenie wielki klisz nie zastąpi kilku małych a dosadnych, choćby był z innych względów interesujący.

Mówiliśmy już o reprodukcjach dzieł artystów, w wyborze ich potrzeba jak największej surowości, a właśnie tu bywa powolność największa i wiele tych ogromnych kliszów nie wytrzymuje krytyki. Niekiedy drzeworyt jest wykonany pieszczotliwie, starannie, ale rysunku niema, lub jest niewystarczający, słaby, zamazany.

Brak rysowników dotkliwy. Na fantazją, na oświetlenie efektowne, na jakąś energję ołówka i siłę, a raczej wysiłek potworny zdobywa się wielu, a rysunek, ten nieszczęśliwy rysunek, na którym wszystko leży, nawet u koryfeuszów illustracyj bywa opłakany. Jedne typy, jedne pozy, jedne twarze powtarzają się, świadcząc o tem, że artysta wziął rozbrat z naturą.

Pisma nasze perjodyczne illustrowane, ażeby odpowiedziały w pełni swojemu zadaniu i z magazynów obrazkowych stały się istotnie illustracjami czasu, winnyby radykalnej uledz reformie.

Konkurencja niekiedy tak pożyteczna i dobre przynosząca owoce, zapędziła wydawców na bezdroża. Gdy jedni dawali arkusz, drudzy aby ich prześcignąć wysilili się półtora, potem przyszły dodatki bezpłatne, potem premja roczne, na ostatku kwartalne itp. We Francji niektóre pisma posyłają abonamentom zegarki, ale u nas do tego jeszcze nie przyszło.

Tymczasem dalej już iść niepodobna,—aby konkurencji podołać, trzeba się na treści i obrazkach oszczędzać. Zdaje się, że może nadeszła chwila, gdy reforma staje się konieczną, a ta zasadzać się powinna nie na ilości, ale na jakości pożywienia.

Z tego bezmiernego powiększania pism wynikło zasypywanie ich rysunkami olbrzymiemi, ładowanie artykułami, które rozmiarami i sposobem traktowania przedmiotu do tygodników się nie nadają; temu jakoś nikt u nas dotąd wierzyć nie chce, że inaczej się powinno pisać do dziennika wychodzącego codziennie, inaczej do tygodnika, a jeszcze inaczej do przeglądów miesięcznych, które gdy dwutomowe dzieło rozczłonkują na sześć miesięcy —nie idzie im to na zdrowie.

Tak samo jak studja głów zalegają czasem dwie stronice illustracyj, wodniste gawędy do omnibus rebus et quibusdam aliis podpisywane przez pseudonymów zalegają całe łamy, gdy na najpotrzebniejsze bieżące sprawy niema ani miejsca ani ludzi.

Ale drzeworyt się płaci od cala, a od wiersza artykuł!! Niestety!!

Drzeworyt więc daje białą ścianę gmachu na całej karcie, a artykuł w którym jest treści na cztery wiersze, ciągnie się w wodzie rozcieńczony przez cztery kolumny.

Słówko jeszcze o premjach. Najczęściej są to olejodruki, które gdyby nawet były najlepsze, (a zwykle są mniej niż mierne) rzeczywistej wartości artystycznej mieć nie bogą. Kwalifikują się one na folwark, bo w przedpokoju nawet popisywać się z niemi trudno. Dziś, gdy fotodruki są tak wydoskonalone i tanie, posługiwać się rzemieślniczą robotą taką — jest grzechem przeciw poczuciu piękna.

Rzucamy te uwagi pobieżnie, na prędce, nie mogąc się obszerniej o tem rozpisać. Nie wątpimy, że przedmiot ten raz potrącony, powinien zbawienną wywołać polemikę—i—choć się pogniewają ludzie, sprowadzić prędzej czy później reformę pożądaną.

J. I. Kraszewski

Drezno w Grudniu.

Wigilja Bożego narodzenia

napisał Świętobój.

Wiatr wschodnio-północny dął z całą gwałtownością. —

Tumany świeżo spadłego śniegu, oderwane od stężałej skorupy, gdzie do snu się ułożyły, w szalonym gniewie wywijały obertasa, wirowały kłębisto, tańczyły podskakując do góry jakby

---

ści» bez poręczenia kwotę dwustu reńskich, nie żądając więcej jak cztery od sta na miesiąc procentu.

Wspomnienie to z czasów studjowania «hebrajszczyzny» sprowadza myśl moją na spór naukowy między dr. Mochnackim a dr. Eibenschützem o stanowisko żydów w naszem społeczeństwie, zakończony porażką tego ostatniego obliczoną na 150 zlr. w. a. Zapytywany niejednokrotnie o fakta z życia dra Mochnackiego, muszę przedewszystkiem wyjaśnić, że Maurycy Mochnacki, który bił moskali, niema nic wspólnego z drem Mochnackim bijącym żydów. Podobieństwo zachodzi tylko w krewkości i zamiłowaniu do studjów historycznych, kiedy bowiem Maurycy pisał dzieje 1831 roku, to Dr. Józef skreślił nam dzieje niewoli żydowskiej, w jakiej zostajemy od siedmiu, wieków i dowiódł jak na dłoni, że nie kto inny lecz pradziad dra Eibenschützа wspólnie z innymi «notablami» zaprzedał Polskę ościennym potencjom, wymówiwszy sobie naprzód wieczną dzierżawę polskich kieszeni. Nie wiem gdzie się znajdował wówczas pradziad dra Mochnackiego, ale to fakt, że nie miał tyle rycerskości co jego prawnuk, kiedy na ten handel przystał i sprzedać się pozwolił. Może być, że za dużo i niepotrzebnie gadał, co się udzieliło niektórym jego potomkom.

Gadanie, szanowny panie, na nic się nie przyda, jeżeli w ślad za niem nie idą czyny. Gdyby u pana Jana Miki tylko gadano a nic nie jedzono ani nie pito, toby zwinął swój handel i pozbawił Krakowian przyjemności spoglądania na przedłużone oblicza pp. Wentzla i Hawełki. Otwarcie nowego handelku stało się faktem tak donośnym, że wobec niego zbladła nawet wojna wypowiedziana Rossji przez «Nową Reformę.» Spodziewam się zobaczyć w dzisiejszych dziennikach wieczornych (piszę to w poniedziałek) artykuły wstępne poświęcone temu przybytkowi koalicji narodów, godzącemu polską kiełbasę ze szczupakiem po żydowsku, francuskie sardynki z niemieckiem piwem i rossyjski kawior z angielskim porterem. Reporterzy moi donieśli mi, że artykuł w tej sprawie «Nowej Reformy» ma się rozpoczynać w sposób następujący: «Untoward event! Jan Mika połączył wszystkie stany na polu gastronomji. Odkąd Sybaris we Włoszech zasłynęła rozwojem sztuki kulinarnej, a Archestrata z Sycylji napisał w tym przedmiocie nieznane nam bliżej dzieło — odtąd upłynęło już wiele wieków. Mimo to raz

chciały wyciąć hołubca, i spuszczały się na dół w prysiudach kołomyjkowych, zawiewając równocześnie wązki szlak na drodze, ściezki wiodące do wody, drożynki wydeptane przez kury i inne domowe stworzenia chciwe pożywnego ziarna — podwórza—płoty, studnie—jary i wądoły, a ścieśniony prąd powietrza wydawał piskliwe tony jęczące jak dusze potępieńców.

Stodoły w Moczarach ustawione w równoległej linji obok siebie, przy stoku małej cieśniny, jakkolwiek dawały przytułek niezliczonej masie ptactwa, jak: wróblom, szczygłom, gilom, trznadlom, dzierlatkom, sikorom itp., za lada podmuchem wiatru grały i dzwoniły, przyczem przybita na słupie czerwona tarcza towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń z św. Florjanem lejącym wodę na ogień, trzeszczała i chrzęściła by grzechotka wielkanocna. Łoskot ten naturaliści wytłumaczą łatwo akustycznem położeniem, oraz drgającą falą powietrza, które wychodziło z wąwozu, lecz prostaczkowie nie znając praw fizyki wierzyli niezłomnie w pokutujące duchy, które bujna fantazja starych znachorek i bajarzy przystroiła w legendowe żywe barwy. Przed laty—opowiadano z tego powodu — rządca w Moczarach zakochał się w ślicznej wiejskiej dziewczynie, której oczy błyszczały jak toń jeziora, ponętnie, jasno i żywo, włosy złociste okrywały płaszczem kształtną jej postać, usta zawsze uśmiechały się słodko, jakgdyby chciały mówić o raju. Rządca miał możną familję, a dziewczyna była z porządnej chaty, więc pobrać się nie pozwalały im stosunki towarzyskie, a kochać się jawnie obyczajność i bojaźń języków ludzkich (było to dawno, bardzo dawno!)—a tu oboje żyć bez siebie nie mogli. Miłość jednak jest wybornym wynalazcą. Stodoły były prawie puste, urządzili zatem tam sobie schadzki. W noc każdą bezksiężycową dziewczyna by młoda łania chyżo przebiegała przestrzeń dzielącą ją od dworu, szczebiotała idąc w zawody z słowikiem wywodzącym piesni w łozinie, lecz wiele mówić nie miała o czem, a choć się uśmiechała, rządca niestety! nie mógł widzieć tego, wrota były zamknięte, noc ciemna! Ach! cożby dał, żeby spojrzeć w to słodkie oblicze! myślał zawsze z bólem i tęsknotą; aż raz pokusa go złamała, wzięła górę nad przezornością. Na schadzkę przybył z świecą woskową, skrzesał ognia, rozżarzył ją, a topiąc oczy w cudnej dziewczynie, nie uważał, że iskra padła na stos słomy leżącej w kącie, zszeleściała błyskawicznie i wybuchła snopem płomieni, które objęły drewniane ściany liżąc językami ostremi pokrycie dachu. Na górze było jeszcze zboże, zaczęło płonąć w jednej chwili i zakochani dopiero żywioł straszny ujrzeli. Rządca rzucił się do wrót by je otworzyć, tymczasem przepalona powała runęła całym ciężarem na biedną dziewczynę. Nie dała znaku życia. Gdy ludzie przybiegli z ratunkiem zastali tylko stos ognia, wokoło którego biegał rządca jak szalony wyrywając sobie włosy. Nie zboża on tak żałuje, mówili sceptycy, których pełno wszędzie, nie pańskiej pracy, ale w stodole ukrytą miał beczkę czerwieńców, stopi mu się do szczętu. Poszli potem na ostygłe zgliszcze szukać śladów złota. Nic nie znaleziono, nic zgoła, prócz małej kosteczki zapewne z gołąbka, który gnieździł się w stodole. Zniknięcia dziewczyny nie umiano wytłumaczyć. W lat kilkanaście po pożarze przybłąkał się do wsi żebrak trzęsący i stary, sparł głowę pod odbudowaną stodołą na podmurowanie dawne, aby jej więcej nie podnieść. Starcy rozpoznali w nim rządcę i odgadli powód tej skruchy z wszelkiemi szczegółami. A gdy niezadługo wieczorem tony jakieś ostre to znów łagodne usłyszano, rozróżniono w nich wyraźnie donośny baryton rządcy i srebrny głosik dziewczyny, pokutujących za miłość swoją i śmierć bez ŚŚ. Sakramentów. Dziś głosy te wyły wściekle, szalały, jęczały, i dzwoniły, a gdy wicher złamał kawałek dachu, harmonja była zupełna.

Huk ten straszny przebudził pannę Eugenję ze snu twardego. Przeżegnała się, przetarła oczy, aby zrozumieć położenie, lecz pamięć zadzierzgnięta w marzenia senne nie przychodziła na zawołanie. Czyżby strzelali na cytadeli? myślała — hm — zegar na bernardyńskim kościele nie bije i szum znowu daje się słyszeć. Zwolna pomalutku zaczęła sobie wreszcie przypominać, iż nie znajduje się u siebie we Lwowie, albowiem wczoraj końmi brata przybyła ze stacji kolejowej, gdzie nie chcieli wydać jej rzeczy przed odejściem pociągu, wskutek czego w ciemną noc musiała tłuc się po drodze i wysiadać kilkakrotnie, bojąc się wywrotu. Przyjechała tu jak w każdym roku na Święta Bożego Narodzenia do brata Lubina, który choć był nieugięty, twardy i ostry, tradycyjne narodowe święta obchodził z całą okazałością.

—«Choć niema nas tylko dwoje na świecie — mówił przed kilkoma lat do siostry — *dwoje*, ty i ja — wyroki Boże niezbadane, trudno iść przeciw woli Jego—proszę cię Geniu, powiedz Paternackiej, aby wszystko było jak się należy.» Stało się zadość rozkazom.

Było sianko przykryte lśniącym holenderskim obrusem, przy którym jadali pradziadowie, był snop żyta i pszenicy w kącie, na stole duża strucla w wianku z opłatków, potem szczupak z cytryną, karp na miodzie, hrecuszki z makiem, owoce suszone w syropie itp. łakocie i przysmaki, ale Genia przez całą kolację ocierała łzy pokryjomu, skarżąc się głośno na katar, a pan Lubin chrząkał co chwila i narzekał na ościste ryby i arendarza, który przywiózł je z miasta; kiedy zaś po wieczerzy, Paternacka z kredencerzem Mateuszem i ogrodnikiem cienkim dyszkantem zaintonowała kolendę: «Dzieciątko się narodziło,» rzucił się na nią jak lew rozjuszony i gromkim głosem zawołał: «Kto wam tutaj drzeć się pozwolił, nie dość macie piekarni — precz mi z piskami!» Biedna Genia — biedna stara panna płakała prawie noc całą!

---

nadany popęd wzrastał. Cezarobójca Brutus, w szerokich pantalonach chodzący Jan bez ziemi, jakoteż nadziany frygijską czapką Robespierre, rudawy Wallenstein, ba! nawet Van-Dyck zakochany w żonie Rubensa — jedli i pili kiedy im dawano—i przekładali zawsze holsztyńskie ostrygi nad mleko z zacierką. Arystokracja żołądka zgadza się z liberalizmem ducha — Le ventre plat, powiedział Wolter, — c'est un grand malheur itd. itd. itd.

Jeżeli zaś «restauracja Wawelu,» jak to twierdził «Czas» przed dwoma miesiącami, przeszła już do poezji ludowej, to dlaczegóżby «restauracja Jana Miki» nie miała dostąpić tegoż zaszczytu. Naprzykład

Na krakowskim rynku serce człeku pika
Tu Wentzel, Hawełka, a tam w podle Mika.
Dobre są ziemniaki, ale lepse gruski,
Co Jan Mika z społką, to nie jakiś Suski.

Jeżeli wogóle wszelkie wielkie fakta i wszyscy wielcy ludzie przejdą w usta ludu, to bezwątpienia pan Himelblau będzie jednym z pierwszych, o których «pieśń gminna» poda wieść potomności. Do tej chwili bowiem mówiliśmy: nasz Kościuszko, nasz Batory, nasz Kopernik, nasz Mickiewicz, nasz Słowacki, dziś zaś mówimy i piszemy już: *nasz* Himelblau! Jeżeli nie wierzycie. przeczytajcie «Dziennik Polski» z niedzieli, a dowiecie się z kroniki krakowskiej, że «*nasz* Himelblau wyrabia się na krakowskiego Orgelbranda.»

Co więcej, mam wszelkie dane, że zasługi położone przez tegoż męża dla kościoła, wyjednają mu co najmniej order św. Grzegorza. Sam kalendarz p. Himelblaua, przejęty na wskroś katolicyzmem i głębokiem poszanowaniem tradycji nadaje mu prawo do tego odznaczenia. Gubię się tylko w domysłach, kto jest większym katolikiem: czy Dr. Miłkowski, czy p. Himelblau, i który z nich pierwszy beatyfikowanym zostanie? Gdyby beatyfikacja zależała od rady szkolnej lub od niektórych gron nauczycielskich p. Himelblau mógłby być pewnym pierwszeństwa. Zresztą i nazwisko samo coś znaczy, więc choć pan Miłkowski jest *miły* kościołowi, to p. Himelblau ma bliższe z *niebem* stosunki.

I przeciwko takim mężom, takim siewcom religji, moralności i uczuć narodowych występuje Dr. Mochnacki!!

Na drugi rok było lepiej. Czas rany zabliźnia i smutki ułagadza. Paternacka nie odważyła się już kolędować, ale w sam dzień Bożego Narodzenia przyszły dzieci z wiejskiej szkółki z szopką i jasełkami,, wprawdzie śpiewali tylko: «Hej w dzień narodzenia» i «Śliczna panienka» lecz suto zostali obdarowani. Panna Eugenja postanowiła wyzyskać położenie, przybliżyła się do brata i coś szepnęła mu do ucha. Miłosierny Boże! jakżeż skoczył i jak ją ofuknął. Oczy błyszczały mu jak karbunkuły z pod siwej rzęsy, z ust wysypał się grad słów ostrych, dotkliwych, gorących, jakich poczciwa panna Eugenja nie słyszała w życiu! — boć panna Eugenia unikatem była w swej kaście! Choć zestarzała się w panieństwie nie mogąc do gustu znaleźć męża (a miała kilka partyj) nie ciężyła nikomu, nie szukała opiekuńczej rodziny, ani nie opiekowała się nikim, nawet kanarkiem i kotkiem. W poźniejszym wieku spadła na nią mała sukcesyjka, co podniosło ma się rozumieć estymę okazywaną jej przez dalekich krewnych. «Droga Genciu! kochana siostro! — łaskawa ciotuniu! wołano zewsząd, dom nasz stoi dla ciebie otworem, przybądź, rządź, rozkazuj!» Lecz panna Eugenja podziękowała za «miłą serdeczność» najgrzeczniej, wymówiła się przyzwyczajeniem do samotności i żyła po dawnemu. I u brata nie bawiła dłużej nad dwa tygodnie, lubo całował ją po rękach i prosił szczerze.

— Jak wiesz braciszku, wszędzie dobrze a w domu najlepiej— odpowiadała niezmiennie.

— Tu przecież jesteś jak w domu, Paternacka słucha cię więcej niż mnie samego.

— Nic to nie znaczy — uśmiechała się — tworząc plan, którego zasadniczym punktem było życzenie, aby brat się unudził, roztęsknił, i—i—oh! co za myśl błoga! Nie unudził się jednak i nie roztęsknił ów człowiek z granitu, mając pracę i zajęcia wypisane systematycznie, mimo to panna Eugenja za każdem przybyciem do Moczar starała się zręcznem słówkiem wyżłobić ścieżkę do serca jego. Jak jej się to udawało widzieliśmy dwa razy, ale postanowiła nie dać za wygranę, nie zrazić się niepowodzeniem. Była to już rodzina taka silna, męzka, nieulęknięta, wierna i stała w przekonaniach i miłości aż do śmierci!

W tym roku (7-ym od owej kolendy Paternackiej) zamiar ej miał wydać owoce, miał dojrzeć. Brat trochę złagodniał, ile z pewnych zmarszczek zarysowujących się na skroniach wnosić mogła, wtajemniczy weń Paternacką i Mateusza wierne stare sługi i wszystko udać się musi! Nie nadarmo w taką porę trudziła kości swoje, zwłaszcza, że prezesowa koleżanka z pensji osobiście zapraszała ją na paradną, wesołą wieczerzę wigilijną i opuściła ciepły pokoik z widokiem na plac targowy (Bernardyński), gdzie tak zabawne rozgrywają się sceny, szczególnie przed świętami, kiedy każdy coś nabyć pragnie, a dzieci ubogie gapią się na choinki!

Plan jej był misterny i delikatny, choć wcale nie nowy, kombinacje w nim zawarte wymyślił ktoś w początku chrześcjańskiej ery, lecz właśnie dlatego był wypróbowanej doskonałości, udatności nieomylnej!

Burza szalała coraz więcej, w stodołach grało i jęczało, odważna panna Eugenja poczęła odmawiać koronkę do Przemienienia Pańskiego i godzinki, ofiarując je za cierpiących i podróżnych, aż doczekała się świtu, który by pionier amerykański przebijał gęste śniegu zawieje, barwił powoli smugami jasnemi kontury sufitu pomalowanego w popielate arabeski, spuszczał się potem na gzyms pieca, kanty szaf, pułkę z książkami, aż dotarł do łóżka orzechowego, na którem spoczywała stara panna, ale nie ogrzał pokoju, zkąd choćby byli spalili dwie fury drzewa jedna podobno wyszła) wiatr dmący z taką siłą i wytrwałością byłby wywiał resztki cieplika.

Otworzono drzwi pocichutku. Okutana w grubą sukmanę dziewka weszła z naręczem drzewa i sporym zapasem ognia w fajerce, wsypała go do pieca, obłożyła łuczywem i drewienkami spiętrzonemi architektonicznie i dmuchała, dmuchała aż płomień niebieski przemknął się przez pokłady, rozjaśnił pokój i trzaskać zaczął wesoło.

Panna Eugenja rozweseliła się także, ciepło zrobiło się jej na sercu, jakby ogrzał je blask ognisty, a myśl krążyła niespokojnie po głowie szukając ujścia by ptaszę w klatce więzione!

— To ty Jarynko? ozwała się wreszcie—dawno cię nie widziałam.

— Oj dawno proszę wielmożnej pani — odparła całując ją w rękę. Łyszczakowie wzięli mnie za swoją, jeszcze żyła nieboszczka Imość—za naszej panienki, dodała ciszej—teraz pomarli, syn ich mnie wygnał i przyszłam znowu do dworu.

— Idź no powiedz Paternackiej, że chcę ją widzieć.

Po wyjściu dziewki, wsparta na ręku zaczęła na nowo z kłębka wspomnień wysnuwać nitkę po nitce: złociste, jasne, szare, boć jasne z biegiem czasu zbrukały się i zczerniły w ręku losu jak bawełna królewska w dłoni kapryśnego dziecięcia, które nie chce jej wypuścić. A nie były to wspomnienia jej młodości, dni jej wiosennych — nie — te minęły, nie wrócą — z przyprószoną zimowym szronem skronią takie wspomnienia to anachronizm! Ona przypomniała sobie Lubina, młodego chwackiego Lubina, gdy przyprowadził bogatą i piękną żonę do Moczar: kochal się, byli szczęśliwi długo, długo, mierząc zwykłemi dniami, choć tak króciótko dla szczęśliwych. Pan Bóg dał im córkę jedynaczkę, Ludmiłę (ludziom miłą), była taką istotnie. Wesoła jak skowronek, najlepsze miała serce, kochała wszystkich bez wyjątku i tę samą daninę odbierała z naddatkiem. Rodzice uwielbiali ją, pieścili i psuli.—Ojciec pozwalał jej na wszystko, matkę nie pytano o zdanie. Milcia śpiewała jak słowik, śmiała się by synogarlica, przytem dowcipkowała jak Żółkowski, w jeździe konnej zawstydzić mogła huzara, a w salonowém obejściu panią Recamier lub Geoffrin, gdyby ta nie była zmarła przed wiekiem.

W Moczarach, (którym bagnisko z rzegoczącemi żabami i stadem bocianów nadało podobno miano) nudno było strasznie — sąsiedztw brakowało zupełnie; prócz księdza proboszcza i starego wikarego państwa Lubinów nikt nie odwiedzał. W zimie szczególnie krótkie dnie wydawały się nieskończonemi, a długie wieczory wiecznością. Ojciec palił fajkę i dumał, matka dziergała pończochę i patrzała przed siebie, a Milcia nudziła się i tęskniła za latem. Żywiołem był jej śpiew — koń — powietrze — w pokoju brakowało jej oddechu, przestrzeni; nudziła się też strasznie. Widzieli to rodzice i czuli.

— Niema rady — mówił jednego poranku pan Lubin do żony — dziewczę nam się zmarnuje, a mamy ją jedyną, trzeba ci jechać do miasta, tu widocznie wyżyć nie może.

— Dobrze — odparła zgadzająca się zawsze żona.

I zaczęto prędko pakować i zbierać potrzebne manatki, aby zdążyć na pierwszy bal do stolicy. Eugenja mieszkała tam od lat kilku — ucieszyła się kuzynkami, czyli bratową z córką serdecznie, ale użyteczną nie mogła im być wiele, nie potrzebowano też tego. Jakże jasno stoi w pamięci ów wieczór styczniowy: wezwano ją do oglądania stroju bratanki. W białej tarlatanowej sukni z atłasowem przystrojeniem i niezapominajkami wysoka, zbudowana posągowo, choć o nieregularnych rysach, lecz z alabastrową cerą i wyrazem niezłomności na czole, Milcia zrobiła na niej, biednej samotnej pannie, wrażenie bogini olimpijskiej, lub muzy z Helikonu — o! bo w istocie była muzą,—boginią strasznego przeznaczenia!

Bal ją wiele nie bawił, tańce to czcza rozrywka — mawiała — natomiast cyrk, teatr, szczególnie gdy dawano operę —

absorbował ją zupełnie. Właśnie wówczas przybyli śpiewacy włoscy, zaangażowani na gościnne występy. Jeden z nich, syn jakiegoś marchessa zbiegły od rodzinnego ogniska, brunet z pałącem okiem, podobał się Milce nadzwyczajnie. Słuchała śpiewu jego z zachwytem nie do opisania, i ekzaltacją — patrzała weń bez ustanku, przyczem straciła humor swój złoty, nie śmiała się i nie szczebiotała. Matka znając jej gusta wiodła ją do teatru.

Dok. nast.

HELOTKA.

Z brzemieniem, co mi ramię wyżłabia powoli,
Z źrenicą, w której krwią się barwią łzy palące,
Staję... i nie śmiem pytać, co mnie bardziej boli:
Czy ta jasność greckiego błękitu, czy słońce,
Które twarz mą przepala i potem oblewa,
Czy melodja gruchania słowiczego słodka,
Czy ta woni w kwitnących ogrodach ulewa?
Ach!—bo z każdym tu głosem i z każdym szelestem
Przyroda, jak hetera wszystko do się wabi
I mówi zda się wszystkim: patrz! -jak piękną jestem,
Tylko ty precz odemnie, ponura helotko,
Bo nie dla cię kobierców moich mech jedwabi
I to słońce, co ciebie pali, a mnie pieści...

Helotka... a ja stoję — i echa nie płaczą
Krzywdy mojej... ja jedna, jak posąg boleści,
Szklannym wzrokiem w dal patrząc—pytam... sama siebie:
Czem jestem, że te więzy dźwigam?.. czy tułaczą
Córą obcego rodu, co przybył zza morza,
Czy dziecięciem nędzarki, co w śmieciach się grzebie?
Nie! — ja jestem lakonką z krwi, kości i ciała,
Królewną bym schodziła do miękkiego łoża,
Gdyby ziemi praojców moich krwią nie zlała
Błędna — synów północnej Dorydy drużyna...
I dziś — smutna, wyklęta po ojców pogrzebie, —
To się we łzach rozpływam, jak mała dziecina,
To kamienieję w bólu, z krwią w źrenicy suchej...
I dzisiaj już nie jestem panią tych ogrodów,
Lecz prostą służebnicą, co kurz z ścieżek zmiata
I przywraca posągom zapylonym białość, —
I taka nędzna jestem, że już tracę śmiałość
Chwilami — i królewski majestat niedoli,
Co mym matkom cześć jednał u wrogich narodów;—
Dziś... korzę się służalczo mimo własnej woli,
Gdy koło mnie mej pani zaszeleści szata...

Niegdyś — w dworach mych przodków płonęły kadzidła
I z woniami się wiatru mięszały podmuchy, —
Ściany zdobiły złotem tkane arabeski —
I w przedsionkach przed bogów kamiennym obrazem
Bluszcz, winograd oplatał czoła kolumnowe...
A dziś... w hańbiących więzach skarlała i zbrzydła,—
Królewien nowych stopy omywam różowe,
I dźwigam brzemię dane mnie!.. córce królewskiej,—
I nie śmiem nawet w pierś swą ugodzić żelazem!..
. . . .
Czuję... na twarz chłodniejsza wieje wiatru fala,
Ciszej i lżej w powietrzu... świeższa gra kolorów,
Słońce — schodząc ze szklannej kopuły — dopala
Ostatni snop promieni... już na tle wieczorów —
Królewskiego ogrodu nikłej mgłą fontanny.
I welon ich nie błyska tęcz chwiejnych barwami,
Już osiadły słowiki drzew zielone ściany
I wiodą melodyjny rozhowor z różami, —
A róże... już stulają do snu wonne łono
I marzą i grą szmerów swym kochankom wtórzą,—
Już, już księżyc i gwiazdki wybiegły i płoną
Mdłem światłem nad fontanną, topolą i różą...

I z jasnych komnat dworca w draperji przejrzystej, —
Spartantka młoda wchodzi na kamienny ganek,
Przy niej, niby Herakles — dumny i wyniosły
Grek — i śpieszą oboje do miękkiej, cienistej
Altany, którą wiotkie topole obrosły...
Ona biały, mirtowy wplotła w włosy wianek
I stanęła, jak jońskiej obelisk kolumny,
Zlekka sparta o chłodny posąg Apollina,
A on — sam jak Apollo... on, — bohater dumny,
Cały wpił się w jej oczy czarne, rozpalone,
Wpół ująwszy ją lekko...
Ja... młoda dziewczyna —
Dziwną zazdrość uczułam... w piersiach jękło łkanie,
Lecz nie wyszło oczyma, co były czerwone,
Krwią nabrzmiałe, jak przedtem...
A oni?. cóż może
Ich obchodzić ta smutna, milcząca helotka?..
Oni — wybrali miękkie na trawach posłanie —
I, rzuciwszy przykrycie na wilgotne łoże,
Upadli twarzą do gwiazd... i tylko stokrotka —
Złamana zakreśliła koło nad jej czołem
I we włosach z mirtami utonęła społem.....
I poczęła się cicha, miłosna rozmowa,
Coraz miększe płynęły do mnie z wiatrem słowa.
. . . .

Dosyć... czas spocząć... jutro nim zorza wystrzeli,
Pogonią nas w Laurionu góry, kędy złota
Ukrywa się gdzieniegdzie pruszynka błyszcząca.
By *oni* czem nasycić chciwość swoją mieli.....
Pójdę... da mi niewielki kąt nora cuchnąca, —
Tam wywar kości może pośili spragnioną
I cynizmem swych żartów może rozweseli
Mnie na chwilę — kochanek mój — pasący woły,
Jak ja dziecię Lakonji i jak ja... helota.

I tak miną nazawsze moje lata młode
Z zbydlęconym niewolą człowiekiem pospoły, —
Bo nie dla mnie pierś męzka, szlachetna rycerza
I czoło jego zdobne w wawrzynowy wianek, -
Bo tylko śród mu równych, bogatych spartanek,
Rozpala się wzrok jego... silniej pierś uderza!....

Józef Korwin.

WIGILJA BOŻEGO NARODZENIA

napisał Friedrich-Friedrich.

Małe mieszkanko umieszczono w wązkiem, zaduszonem, okolonem wysokiemi domami podwórzu, gdzie kanał służący do zlewów i spadu wody deszczowej wyziewał woń nieprzyjemną. — W jednym kącie podwórza stała stara studnia z skrzypiącym żurawiem, którym trzeba było mozolnie pracować dla wydobycia trochę wody; w innym przed laty oryginał jakiś zasadził drzewko lipowe, lecz to zdołało tylko dobić się do pierwszego piętra, dalej nie postąpiło ani cala, bowiem światła i powietrza cały rok nie widziało; wegetowało więc, co wiosny barwiło się nędznemi listkami, a uschnąć nie mogło w żaden sposób.

Z podwórza wprost do izby w pomieszkaniu wiodły stare zbrukane drzwi, wiszące ledwie na zawiasach; dołem po pod nie przez wydeptany zmurszały próg wiatr przewiewał dowolnie. Za tą izbą znajdował się jeszcze ciemniejszy alkierzyk, gdyż małe okienko wybite pod powałą niewiele przepuszczało światła. Alkierzyk jak to okopcone ściany i resztki ogniska okazywały, służył niegdyś za kuchnię, obecnie stały w nim dwa ubogie tapczany i nieco rupiecia zawadzało w kącie takiego rodzaju, że nie można było odgadnąć dlaczego właściciel je przechowywał.

Mała izba i stara kuchnia składały mieszkanie ubogiej młodej jeszcze wdowy i jej dziesięcioletniego synka kaleki. Ktoby tego nie wiedział, mógłby sądzić, iż nierozwinięty, zaledwie na ośmioletnie dziecię wyglądający chłopiec, mieskał tam sam, gdyż po całych dniach zawsze siedział przy niskim stole samotnie pod oknem i bawił się lub przepędzał czas po dziecinnemu.

Nędzne to było istnienie! a przecie z dużych, ciemnych, jakby promieniących oczu chłopca świeciło zadowolenie dostateczne. Miłości nie znał dotąd zupełnie. Nie czułże jej potrzeby?

Matka nie kochała go, była ostrą i zimną, nie miała dlań najmniejszego współczucia, a chłopiec przywykł nie skarżyć się nigdy. Raniutko, gdy przyrządziła śniadanie, posunęła dziecku w milczeniu kilka kawałków chleba i garnczek z wodą, poczem wyszła zamykając drzwi na klucz.

Trudniła się roznoszeniem gazet, a gdy ukończyła to nużące zajęcie udawała się do roboty, od której późno wieczorem wracała. Znowu bez słowa pozdrawiającego wstępowała w ubogie progi, nie troszcąc się o dziecię, które oddawna ułożyło się do spoczynku, bowiem rozniecenie światła nie było mu dozwolonem.

Nigdy nie dostrzegła, że chłopiec czuwał regularnie, a tem mniej wiedziała, iż walczył z snem, aby matkę jeszcze zobaczyć, że uważnie wsłuchiwał się w tętno każdego kroku z podwórza i że doświadczał radosnego uczucia, gdy drzwi otworzono. Na pokorne jego zapytanie odpowiadała surowo każąc mu spać. I on nie ruszył się więcej, widział matkę, słyszał jej głos, zasypiał więc zadowolony.

Ktoby był spojrzał na ową piękną, silną, zaledwie dwadzieścia ośm lat liczącą kobietę, nie uwierzyłby, iż jest tak ostrą i bezlitośną dla swego niedołężnego dziecięcia. Zwykle matki ułomne dzieci kochają najwięcej, chcąc im niejako pieszczotami wynagrodzić kalectwo dokuczliwe.

Wiele przebytych cierpień zrobiło ją tak zatwardziałą. W siedemnastej wiośnie życia, będąc dziecięciem prawie, z rozkazu matki zaślubiła człowieka, którego nie kochała, nadto była niedoświadczoną, by badać stan swego serca; mąż pijak i gbur obchodził się z nią niegodziwie. Powiększenie familji nie zmieniło pożycia, przyczyniło tylko młodej matce troski i pracy. To też posiadanie synka nie cieszyło jej wcale.

W małej wątłej istocie widziała jedynie dziecię niekochanego człowieka, który ją bił i łajał.

Ciężkie lata przeżyła w zmartwieniu i nędzy nie mogąc się nawet użalać. W końcu mąż umarł z nadużycia trunków. Byłaby odetchnęła swobodnie, gdyż była młodą i świat stał przed nią otworem, ale troska o nieszczęsne dziecię przytłumiła jej radość i zaciężyła boleśnie. Chłopiec bezwiednie krępował ją i gnębił nierozerwanemi pętami. Gdyby była samą, mogłaby była pójść w służbę lub wyjść za mąż, co jej kilkakrotnie proponowano, a tak musiała pracować ciężko, chore dziecię stało jej na zawadzie. W ten sposób serce jej zwolna twardło, by stal hartowna. Nie kochała chłopca nigdy, teraz widziała w nim przeszkodę do szczęścia swego. Życie jej mozolne i kłopotliwe nie znało ani promyka radości, a myśl, że wszystko byłoby inaczej, gdyby nie te ciężące pęta, kołowała jej ustawicznie po głowie. Była młodą jeszcze, w żyłach jej pulsowała krew nadto świeża, by mogła wyrzec się wszelkiej uciechy z rezygnacją i poddaniem. Ciężka ręka losu gniotąca ją tak długo, wyrobiła w niej ostrość i nieczułość przymgliła jej spojrzenie i serce, które w gruncie złe nie było.

A chłopiec tymczasem rozwijał się zadziwiająco. Na świecie nie znał nic prócz wązkiej izdebki i ciasnego podwórza, zkąd nigdy poza obręb nie wychodził. Upośledzony cieleśnie, duchowo przewyższał swych rówieśników. Na starym elementarzu nauczył się sam czytać; starą książkę z bajkami i inną z opisem podróży wynalazł w kuchni w śmieciu; po całych dniach siedział nad niemi, słowa umiał prawie na pamięć, a jednak treści pojąć nie mógł. Wszystko wydawało mu się snem, który przedłużały dziecinne myśli i domniemania.

Z dziećmi nie bawił się nigdy, ponieważ tych nie było w sąsiedztwie, a zresztą matka zamykała drzwi zawsze, więc dostaćby się do niego mogły; nie czuł też tej potrzeby, umiał wystarczyć sam sobie. Na dwóch laskach podparty poruszał się po izbie i znosił kawałeczki drzewa, które go całemi godzinami zajmowały; starym nożem wyrzynał z nich różne przedmioty, jakie znał tylko. Potem starannie zbierał trzaski i wióry, bo matka gniewała się, gdy te na stole lub na ziemi leżały. Spoglądał także przez okno na podwórze, które choć było ciasne i brudne, rozrywało jednak umysł dziecięcy. Kobiety roiły się przy studni, czerpały wodę a w lecie prały bieliznę. O niego oczywiście niewiele się troszczyły, gdyż matka z niemi kłóciła się zawsze — nie wiedział dlaczego.

Najwięcej zajmował go szewc pracujący przy oknie naprzeciw dzień cały. Byli dobrymi przyjaciołmi. Gdy szewc podniósł głowę i ujrzał, że chłopiec zagląda przez okno, kiwał do niego uprzejmie, co opuszczonemu dziecku za każdym razem wydało się jasnym promieniem słonecznym.

Zima była mroźna i ostra. Na podwórzu leżała massa szarego brudnego śniegu, tak wysoko spiętrzona, że chłopiec zaledwie do pracowni szewca mógł zajrzeć, ale widział tylko głowę przyjaciela i ciągle poruszające się ręce. Były to smutne dnie dla biednego dziecięcia. Rano, gdy matka gotowała śniadanie, dość ciepło było w małej izdebce; nim wyszła dorzuciła jeszcze łopatkę węgli do pieca, lecz zakazała surowo nie ruszać ich więcej i do pieca się nie zbliżać.

Ciepło ulotniło się niebawem, piec wyziębł, a po pod drzwi wiał z podwórza wiatr lodowaty. Chłopiec wówczas skulony, bez poruszenia prawie siedział przy stole. Małe rączki mróz zabarwił mu czerwono, przyczem blade policzki jeszcze więcej przybladły. Dnie w ciemnem podwórzu były bardzo krótkie, a przecie wydawały się tak długiemi w zimnej izdebce. Jasnego, niewinnego umysłu dziecięcia, nawet teraz nie zaciemnił cień nieukontentowania i smutku; nie wiedziało ono wcale, że życie może być innem.

Strętwiałemi z mrozu rączkami nieznużenie wyrzynał chłopiec mały domek drewniany, oczy świeciły mu radośnie, a przez głowę przesuwały się marzenia o szczęśliwej, wesołej chwili. Gdy się zmierzchło, zacierał ślady swej roboty starannie, wsuwał się w twarde łóżko i czekał powrotu matki.

Nie posiadał się z radości usłyszawszy jej kroki i głos ukochany. Chociażby nawet z ostremi słowy drzwi do ciemnej izby gdzie spał zamknęła, śmiał się po cichu i cieszył się myśląc jaką to radość domkiem swoim sprawi matce w wigilją Bożego Narodzenia.

Od kilku tygodni wyrzynał mały domek z pudełka cygarowego, które mu darował wraz z woskową świecą szewc—przyjaciel. Z postępem w robocie wzrastało z dniem każdym wyobrażenie uciechy owego wieczora, co nawet w sen jego wplatało się jasnym odblaskiem. Kochał matkę, chociażby jeszcze surowszą i zimniejszą była dla niego; słyszał ją często narzekającą, iż nigdy nie doznaje radości lecz ma tylko troski i pracę, zmartwienie i kłopoty; zapragnął więc choć raz sprawić jej ukontentowanie.

Dzień, którego oczekiwał z taką niecierpliwością, nadszedł wreszcie. Kobieta zwykłym trybem rano opuściła mieszkanie. Było strasznie zimno. Śnieg skrzypiał pod nogami. Ludzie, którzy przechodzili przez podwórze mieli najczęściej uszy podwiązane i czerwone nosy.

Dziecię siedziało przy stole jak zwykle, przed niem stał domek już ukończony, na który spoglądało z wyraźnem zadowoleniem, małe jego paluszki dotykały co chwila świecy, chcąc się przekonać czy dobrze trzyma się na dachu.

Coraz zimniej robiło się w izdebce. Chłopiec ledwie to zauważał, gdyż z naprężenia i uciechy krew żywiej krążyła mu w żyłach. Spoglądał przez okno i cieszył się, że starą studnię okręcono grubo słomą, w ten sposób łatwiej zimno przeniesie. Patrzał do szewca naprzeciw i kłaniał mu się uprzejmie.

Małe zielone drzewko przeniesiono koło okna; wychylił głowę, by lepiej się przypatrzeć. Przypomniał sobie, iż raz także takie samo drzewko z świecami i orzechami dostał na Święta, ale było to bardzo dawno! Nie zazdrościł jednak innym szczęśliwszym dzieciom, — jego matka była ubogą i miała tyle pracy i troski!

W końcu zbliżył się wieczór, wówczas chłopiec domek swój starannie skrył do szuflady. Z trudnością podpierając się na laskach przyniósł nędzną lampkę z innego stołu. Zaświecił ją i postawiwszy przed sobą usiadł skulony na swem zwykłem miejscu. Była to wigilja Bożego Narodzenia, może matka nadejdzie wcześniej. Oczy błyszczały mu jasno, nie czuł nawet przejmującego zimna w nogach i rękach. Z febryczną niecierpliwością nadsłuchiwał każdego kroku. W pomieszkaniu na górze zapalono świecę na drzewku, odgadł to z jasnej łuny odbitej w oknach szewca i cieszył się, choć nie widział tych wspaniałości. Matka siedziała długo, przynajmniej tak wydawało się stęsknionemu dziecku.

(Dokończenie nastąpi).

Śpiewaj biedaku!

(„Ma vocation").

Rzucony na tę ziemię
Człekiem biednym, cierpiącym,
Gdy rówieśne mi plemię
Wciąż z zapałem gorącym
Pędzi przed się i pędzi
Depcąc wszystko w swej drodze, —
Żyję przecież... dochodzę
Już do grobu krawędzi.....
Ale ileż to razy,
Gdy pierś bólem się zmoże
Gorzkiéj skargi wyrazy
Płyną k'Tobie, o Boże!..
Jednak skarga ma tkliwa,
Zamiast łaski Twéj znaku
Tylko rozkaz wyzywa:
„Śpiewaj!.. Śpiewaj biedaku!...."

Wozy ziemskiéj potęgi
Maluczkiego tratują.....
Pychy piekielnéj cęgi
Wolną pierś rozszarpują.....
Chciałbym biednych obronić
Od przemocy i dumy.....
Chciałbym sobą osłonić
Liczne braci mych tłumy!....
Próżno!.. Chęć ma bez zmazy
Tylko bólem pierś zmoże!..
Łzawéj skargi wyrazy
Płyną k'Tobie o Boże!
Aleć skarga ma tkliwa
Zamiast łaski Twéj znaku
Tenże rozkaz wyzywa:
„Śpiewaj!... Śpiewaj biedaku!.."

Ścieżki życia, acz strome,
Męztwa duszy nie studzą...
Tylko cele poziome
W biednem sercu wstręt budzą...
Lecz wśród życia mitręgi,
Muszę imać łańcucha,
Który w twarde swe kręgi
Wciąż krępuje mi ducha!..
Żyjęć, mimo odrazy —
Pług ten sił mych nie zmoże.....
Tylko skargi wyrazy
Płyną k'Tobie o Boże!..
Aleć skarga ma tkliwa,
Zamiast łaski Twéj znaku,
Znowu rozkaz wyzywa:
„Śpiewaj!.. Śpiewaj, biedaku!...."

Wszak w sieroctwie od wieka
Człek się krzepi miłością?..
Lecz i ona ucieka
Razem z laty, z młodością!..
Choć pierś zawsze gorąca, —
Serce uczuć nie wyzna:
Ach, — bo miłość odtrąca
Raz na zawsze siwizna!
Więc gdy w piękność bez zmazy
Starzec wpatrzeć się może, —
Tylko skargi wyrazy
Szle do Ciebie o Boże!..
Aleć skarga ma tkliwa,
Zamiast łaski Twéj znaku
Jeszcze rozkaz wyzywa:
„Śpiewaj!.. Śpiewaj, biedaku!.."

A więc śpiewką wesołą
Słodzę biedną swą dolę...
Idę w druhów mych koło —
I zasiadam przy stole...
Chylę pełne kielichy...
Pieśń się plecie i plecie:
Za wzbudzone uśmiechy
Oniż wdzięczni mi przecie?...
Ale — ileż to razy,
Gdy pierś śmiechem się zmoże,
Gorzkiej skargi wyrazy
Płyną k'Tobie, o Boże!..
Próżno!.. Skarga ma tkliwa,
Zamiast łaski Twéj znaku,
Wieczny rozkaz wyzywa:
„Śpiewaj!.. Śpiewaj, biedaku!.."

z Berangéra **L. Kozłowski.**

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Dnia 15 zgromadziła się rada admin. Król. na zwyczajne posiedzenie; oczekujemy wkrótce jakiego znacznego wypadku. Być może, iż przybycie dnia wczorajszego kuryerem z Petersburga pułk. flügel-adjutanta ces. Haukego było powodem zebrania się rady. Słychać, czemu jednak wiary zupełnej dać nie można, iż jutro ma być ogłoszony wyrok sądu sejmowego.

Dzień 16 będzie dla nas długo pamiętnym, dnia bowiem tego wzięła koniec sprawa tyle nas zajmująca, na którą nawet Europa miała zwróconą uwagę. O godzinie 10 ujrzano porozstawiane straże wojskowe na placu Krasińskim, co potwierdziło wieść wczorajszą; wnet zgromadził się sąd sejmowy, a jener. wda Krasiński, podług organizacji tego sądu zajmując miejsce zmarłego

prezesa przemówił słów kilka, poczem polecił odczytanie wyroku z motywami potwierdzonego przez Naj. Pana. Następnie wezwano słuchaczów na ustęp i wyznaczono deputację do przyjęcia rady admin. Powstawszy senatorowie za jej zbliżeniem się zrobili miejsce między sobą członkom Rady. Prezydujący w Radzie odczytał reskrypt w imieniu Naj. Pana, zawierający naganę dla sądu sejmowego i na tem zakończyło się to posiedzenie i wielka ta sprawa. Obwinieni nie byli przytomni; po odczytaniu wyroku polecił zastępujący prezesa sądu prezesowi, aby obwinionym w miejscach przez nich zajmowanych, po dopełnieniu formalności wyrok odczytał.

Lubo nagana dana sądowi sejm. jest surowa i niejako zagraża nam utratą bytu politycznego, wszelakoż, że widzimy już przynajmniej koniec położony tej sprawie, wielka z tego powodu panuje powszechna radość. Wszędzie a wszędzie o wypadku dnia wczorajszego słychać rozprawiających; jak w podobnych okolicznościach wiele przytaczają szczegółów, ale więcej jeszcze tworzą baśni. Opuszczając jedne i drugie, powiem istotną i nagą prawdę. Każdy z senatorów otrzymawszy drukowany egzemplarz napomnienia ces. wybiera się co żywo opuścić stolicę, w której obrębie tak długo był zatrzymany. Dnia tegoż po dopełnionej formalności wypuszczony został Załuski i Sołtyk, pierwszy udał się zaraz do gener. Krasińskiego i wieczorem wyjechał na wieś do żony, drugi zaś w lektyce zaniesiony do syna, tak jest osłabiony, że jasności dziennej znieść nie może; jedna ręka mu uschła, w drugiej mało ma władzy, z trudnością poznaje znajomych. Co do innych: ks. Dembek zmarł od kilku miesięcy, Krzyżanowski, Majewski, Plichta, Grzymała w lipcu wywiezieni zostali do Petersb. mówią za rzecz pewną, iż dwaj pierwsi, jako z prowincji polsko-rosyjskiej rodem, tamże odsiedzą karę więzienia; dwaj drudzy w tych dniach mają wrócić. O Zabłockim zaś nie można powziąść żadnej wiadomości, co się z nim stało. Wszyscy znaczne koszta ponieść muszą, porachowano im bowiem do 4000 złp. za czynność, 500 złp. za karety przywożące ich na sesje sądowe, opłatę stępla i muszą solidarnie zapłacić 13.000 złp. pod tytułem potocznych wydatków. Niewiadomo co pod tym artykułem rozumieją, domyślamy się tylko, że to jest wynagrodzenie dla szpiegów.

Jeszcze o dniu 16. Dnia tego wypuszczono z różnych więzień tajemnych wiele osób, niektórzy podają ich liczbę do trzydziestu, inni posuwają do stu i więcej. Między innymi pułk. sztabu kwaterm. Prądzyński po trzech latach więzienia w klasztorze Karmelitów na Lesznie, tak dalece utracił władzę nóg, iż chwiał się i o swej mocy postępować nie mógł. Gdy się meldował na pokojach przystąpił do niego uprzejmie W. Ks. powitał i rzekł po francusku: «bądź przekonany, iż przez czas twego aresztu, więcej od ciebie i twojej żony na tem cierpiałem,» a obróciwszy się do jenerała Hauke, ministra wojny, ozwał się: Comptez lui ceci pour une campagne. Adolf Cichowski kilkakrotnie był więziony i wypuszczany, ostatnią razą przesiedział dziewięć miesięcy w pałacu Brylowskim. Trzech kozaków od rana do wieczora byli przy nim na straży, nie dozwalając mu zbliżyć się do okna, ani wziąść w rękę jaką książkę, a tem bardziej, żeby co pisał. W wieczór zmieniano kozaków i ci przez całą noc czuwali nad nim. Foljały zapełniaćby można podobnemi u nas wypadkami, lecz zdaje się, iż czas terroryzmu przemija. Cesarz i król nasz widać, iż powziął o wszystkiem, co się u nas działo dokładną wiadomość, czego najlepszym dowodem jest oswobodzenie tylu uwięzionych i reskrypt do rady admin. polecający, aby odtąd więzienia i sądy krym. wprost do cesarza odnosiły się z raportami ile jest uwięzionych, skazanych i za jakie przewinienia, a to pod surowem zagrożeniem kary itp.

W tych dniach wyznaczono czterech oficerów ze sztabu jlnego kwaterm. dla zrobienia planu marszruty ztąd do Kowna, tym bowiem traktem cesarz będzie jechał, mając przed sobą mapę że wszelkiemi szczegółami na pół mili zdjętemi, po obu stronach drogi bitej czyli szosy świeżo ukończonej. N. Pan jest spodziewany na 12 maja.

Oswobodzenie z długiego i ścisłego więzienia tylu nieszczęśliwych podają za rzecz pewną, iż winni jesteśmy sejmowi poznańskiemu. Dla wyjaśnienia tej okoliczności przypomnieć należy, iż prześladowany poseł z Kaliskiego Winc. Niemojewski wyprzedał się przed czterema laty z dóbr ziemskich i nabył majętność w Wiel. Księstwie Pozn., jednakowoż wzbroniono mu wyjechać z kraju, a nadto przydany mu był oficer od żandarmów, który ściśle śledził wszelkie jego kroki i wglądał w najdrobniejsze czynności. Trzeba było żyć z gotówki i być lokatorem w własnym domu, który już się stał własnością nowego nabywcy. Przygody Niemojewskiego stały się powodem, iż sejmujący w Poznaniu, jako za swym współobywatelem podali petycją do króla Pruss, aby się za nim wstawił do cesarza a króla polskiego. Widać, iż cesarz musiał zażądać dokładnego wyjaśnienia, jakoteż i o innych uwięzionych skutkiem czego uwolnieni zostali, i Naj. Pan wydał zwyż wspomniany reskrypt, —oby tylko był święcie wypełniany.

Doszła wiadomość, iż zmarł w Wilnie rzeczywisty radca stanu, szambelan Leon de Bajkoff. Nekrolog jego możnaby podobny skreślić: przydany w pomoc Nowosilcowi był jego prawem ramieniem; główny Polaków nieprzyjaciel wiódł życie epikurejskie, zagorzały myśliwy, wielki zwolennik płci pięknej, gastronom zawołany. Zostawił po sobie pamiętniki z szczegółowym opisem błahych swych zatrudnień i miłostek. Mówią, że wiele osób jest pokompromitowanych.

Zrobiona szarada z nazwiska ś. p. woj. Bielińskiego, wielce jest w obiegu; umieszczam ją:

Trzeciemu z pierwszem, rolnik winien swoje mienie
Drugie odwrotne, w odległej płynie krainie;
A jak płynęło i wieki jeszcze popłynie,
Tak wszystko niechaj w rodzie polskim słynie,

Nadspodziewanie sprawa akademicka spokojnie załatwiona być się zdaje: uczeń Świderski za swoją mowę przy wyprowadzeniu zwłok ś. p. Bielińskiego odsiedział kilka dni aresztu. Szczęściem, iż ten półgłówek, oprócz oschłej gadaniny nic nie wyrzekł, coby mogło zaszkodzić jemu samemu i współkolegom. Zresztą rektor Szwejkowski zwołał wszystkich na salę posiedzeń i przemówił, napominając postępki ich w czasie pogrzebu, opuszczenie prelekcji i obejście się z Krasińskim surowo naganił. Chciał wprawdzie dociec, kto był sprawcą zamięszania na prelekcji Osińskiego, ale gdy wspomniony uczeń oświadczył, iż niema urazy do kolegów, cała sprawa na tem się ukończyła.

Kwiecień. Ponieważ miane mowy na pogrzebie ś. p. Bielińskiego nie są dotąd i zapewne nie będą umieszczone w gazetach, chociaż niema nic w nich, coby przez szpony cenzury nie przeszło, gdyż wszystkie są w duchu rozsądku i umiarkowania wyrzeczone, przeto głosy naszych senatorów są w obiegu czytane i przepisywane. Również zastanawia to każdego, czemu wyrok potwierdzony przez cesarza nie jest drukiem ogłoszony, tak jak cała sprawa i wyrok na spiskowych rossyjskich. Oświadczenie, które prezes rady admin. z rozkazu Naj. Pana, na ostatniem posiedzeniu sądu sejm. uczynił, podług wszelkiego podobieństwa jest płodem prokuratora król. Wyczechowskiego et compagnie.

Zaczynamy znowu powątpiewać o sejmie, sprzeczne krążą wiadomości, a dotąd niema urzędowej wiadomości o czasie przybycia Naj. Pana. W zamku pośpieszają z reparacjami, również jako i Łazienkach król. Mówią, że i cesarzowa ma przybyć z następcą tronu.

Reskryptem N. Pana senat otrzyma mundury. Senatorowie nie są z tego kontenci, gdyż to pociągnie za sobą wielkie wydatki. Oprócz munduru paradnego, (czerwony złotem haftowany), przepisane są dwa inne vice-mundury i szuby gronostajowe na zimę.

Dnia 10 powrócił W. Ks. z Kalisza; dowiadujemy się, iż odbył tę podróż dla urządzenia mającego tamże nastąpić zjazdu cesarza z królem pruskim.

W tych dniach wyprawiono do działającej armji dziewięciu oficerów ze sztabu kwatermistrzowstwa i tyluż z korpusu inżynierji. Niektórzy z nich są ci sami, co i w roku zeszłym kampanją odprawili.

Dnia 14 nadbiegł kuryer i przywiózł wiadomość od ministra sekretarza stanu, iż cesarz przybędzie między 8 a 15 maja.

Plichta i Grzymała dotąd nie przybyli i zdaje się, iż w Petersburgu czas swój wysiedzą, o Zabłockim zaś niewiadomo, gdzie się znajduje i czy żyje.

Dnia 19 po odbytej paradzie na placu Saskim defilował przed W. Ks. powóz ciągniony przez ośm pięknie dobranych koni anglizowanych, maści gniadej i w gustownym uprzężu. Konie te są przeznaczone dla cesarzowej w czasie jej tu pobytu.

Lubo nie masz nic urzędowego, jednakowoż z pewnością utrzymują, iż Naj. Pan będzie się koronował, nie w kościele, ale w sali zamkowej, że na ten obrzęd zebrane będą obie izby, sejm zaś odroczony do października, że cesarz ma tu zabawić trzy tygodnie itp.

Znacznie spostrzegać się daje ożywiony ruch w mieście: sklepy zaczynają mieć większy odbyt, krawcy zarzuceni są robotami, haftarki zaś już i nie chcą się podejmować robót, lubo każą sobie dobrze płacić, — również malarze i mularze są chwytani dla dokończenia domów, mnóstwo rąk zajętych jest około zamku, gmachu bibliotecznego i pałacu namiestników, który jest przeznaczony na pomieszkanie dla księcia i księżnej wejmarskich.

Cesarz miał nadesłać W. Ks. program wjazdu do Warszawy; i tak Naj. Pan stanąwszy w zamku dnia 15 maja oczekiwać będzie przybycia cesarzowej, która zjechawszy w parę dni przeprawi się statkami pod Łazienkami król. Cesarz wyjedzie konno naprzeciwko, poczem wsiądą do szklannej karety (nadejdzie z Petersburga ta sama, w której odbywali wjazd do Moskwy w czasie koronacji) i w dalszym porządku, których już szczegółów nie wiemy, udadzą się do zamku. Otaczający W. Księcia powątpiewają o koronacji i oczekują ostatecznie na kuryera, co w tym względzie przywiezie. Zdają się być niepłonne wieści, jakoby W. Ks. mocne czynił przełożenia i odradzał cesarzowi, aby zaniechał koronacji.

W tych dniach na radzie admin. uczyniono wybór czterech panien na frejliny, które podane być mają do najwyższego zatwierdzenia. Są niemi panny: Róża Mostowska, Natalja Biszping, Melanja Grabowska (córka minis. ośw.) i córka jen. ros. Richtera.

Kupcy tutejsi wyprawili śpiesznie do Lipska po aksamit amarantowy, galony i inne podobnego rodzaju towary, potrzebne na przybranie sali tronowej. Sprowadzą też i inne materje dla pokoi zamkowych, na kanapy, krzesła, firanki itp.

Jenerał dywizji, radca sekr. stanu Kossecki zajęty jest osobiście sprawieniem prześcieradeł, kołder, poszewek, słowem wszelkich betów dla dworu W. Ks. Wejmarskiej!! — ważna czynność dla tak znakomitego urzędnika. Niemniej zastanawiać powinno, aby udzielna księżna mogła tego potrzebować, czyli raczej, aby jej fraucymmer przybył pozbawiony bielizny i pościeli.

Dzień 27. Dnia wczorajszego nadbiegł kuryer z stanowczem postanowieniem cesarskiem, iż koronacja odbędzie sie 24 maja. W. Ks. przywoławszy Kosseckiego, rzekł: «ponieważ N. Pan chce koniecznie *(veut absolument)* odbyć koronacją, przeto należy się natychmiast zająć stosownemi czynnościami» itd. Wieść tak przyjemna dla nas, piorunem rozniosła się po mieście.

Damy tutejsze zajmują się przyszłą toaletą, pośpieszają z wygotowaniem sukien dworskich. Księżna Łowicka i była namiestnikowa posłały do Paryża po suknie, stroje, hafty itd.

Ofiarowano kilkunastu osobom szambelaństwo lub kamerjunkrostwo, ale jak dotąd wszyscy się wymawiają od tych zaszczytów; niewiadomo czy brak pieniędzy, czyli też krótkość czasu ma wpływ na nieprzyjęcie, być może, że jedno i drugie.

Dnia 28 W. Ks. po raz pierwszy zasiadał w radzie admin. Przedmiotem narady było ułożenie porządku i formy odbyć się mającego obrzędu koronacji i stosownego programatu. W. Ks. żądał, aby obecność jego na sesji nie była zapisana w protokóle rady.

Ks. Wołkoński pisząc do rady admin. wyraził, «iż wolą jest Naj. Pana, aby koronacja odbyła się z wszelką uroczystością, żeby nieszczędzono nakładów, żeby więcej okazałość, niż oszczędność miano na widoku.»

Dnia 29 pisma publiczne ogłosiły uniwersał tyczący się koronacji, umieszczam go: «My Mikołaj I. etc. wszem wobec i każdemu komu o tem wiedzieć należy wiadomo czynimy: Zapatrzywszy się na art. 45 ustawy konstyt. naszego Król. Pols., któremu uczyniliśmy już zadosyć o ile się tyczy wykonania przysięgi, postanowiliśmy koronować się jako król polski w mieście stoł. Warszawie, czyniąc uczestniczką tego uroczystego aktu najukochańszą małżonkę naszą cesarzową Imć Aleksandrę i dzień $^{12}/_{24}$ mieś. maja r. b. na ten obchód oznaczamy. W skutek czego senatorowie, posłowie i deputowani wezwani są do zgromadzenia się w rzeczonej stolicy naszej na dni pięć przed naszą koronacją. Przytem zapewniamy ich o życzliwości naszej królewskiej, Boskiej ich poruczając opiece. Dan w Petersburgu dnia $^{5}/_{17}$ kwietnia r. pańskiego 1829, a panowania naszego czwartego.

Spodziewać się należy wielkiego zjazdu; będzie to piękne, że tak rzekę, żniwo dla właścicieleli domów,—już najmują pomieszkania i przepłacają niesłychanie. Kto ma do wynajęcia choć parę pokoi zgłasza się na ratusz, zapisuje swe nazwisko, numer domu, ilość pokoi i cenę jaką żąda na miesiąc.

Podług ostatnich wiadomości Naj. Pan wraz z cesarzową przybędzie 17 maja i stanie w pałacu Łazienkowskim, a dopiero 23 odprawi uroczysty wjazd do zamku. Pałac namiestników ma

zająć hr. Osterman-Tołstoj, gubernator wojenny petersb., a W. Ks. Wejmarska ma mieszkać w zamku.

Dnia 30 odbyło Towarzystwo P. N. publiczne swe posiedzenie, o którem niżej się powie.

Maj. Zajmują się u nas projektem wybicia medalów na pamiątkę koronacji. Rzecz zastanowienia godna, iż do tego nie profesorowie uniw. lub inni miłośnicy numizmatyki i starożytności wezwani zostali, lecz ks. Lubecki z swymi domownikami kują, że tak rzekę, pomysły i wzory. Zobaczymy jak się im uda.

Dnia 3 nasz mistrz obrzędów dworu Żaboklicki mając sobie przydanych kilku żołnierzy, wyjechał do Kowna po odebranie wiezionej z Petersburga korony i innych insygniów. Nie można wiedzieć z pewnością: jaka to jest korona, czy jedna z dawnych polskich, lub ta sama, która służyła do koronacji w Moskwie.

Od kilku dni W. Ks. czyni próby z załogą tutejszą jak ma wystąpić przed cesarzem i tak dnia 4 uszykowała się jazda od Nowego Światu ku Krak. Przedmieściu. Po jej obejrzeniu zakomenderowano, aby wczwał leciała przez plac Saski na ulicę Mazowiecką i dalej. Kilkunastu huzarów pospadało z koni, a jeden z nich mocno pokaleczony. Szczęściem, że się na tem skończyło.

Pierwszy raz zdarzyło się, iż zagajenie posiedzenia Towarz. Prz. Nauk nie zostało podane do pism publicznych; przyczyna tego jest następująca: Jeden z redaktorów Dmochowski otrzymał był od prezesa przedostatnie zagajenie pod warunkiem, iż jeźli cenzura wykreśli choć jeden wyraz, naówczas wstrzymać się ma z drukiem. Stało się przeciwnie, cenzura wymazała kilka wierszy, a pan gazeciarz mimo danego słowa wydrukował zagajenie. To tak rozgniewało naszego Niemcewicza, iż tą razą nie chciał żadnym sposobem udzielić nikomu swej przemowy. Z tego powodu gazety jedna za drugą ubolewać zaczęły nad tym wypadkiem itd. i umieściły w krótkich wyrazach zdanie sprawy, jeden tylko Dmochowski wiedząc, co go czeka, notował za mówiącym i prawie dosłownie umieścił toż zagajenie. Umieszczam następujący wstęp, jako godny zachowania zawsze w świeżej pamięci: «Tomasz Maruszewski obyw. wdztwa kaliskiego przeznaczył 300.000 złp. kapitału na utworzenie funduszu przy szkole wdzkiej Piotrkowskiej dla dziesięciu ubogich Piotrkowianów, z których 3 najzdatniejszych uczęszczać będzie jego kosztem na kursa uniwers. warsz., a z tych jeden celujący pilnością w naukach i dobremi obyczajami, otrzyma fundusz na 3 letnią podróż za granicę, celem doskonalenia się w obranym sobie zawodzie naukowym. Tenże p. Maruszewski złożył w Towarzystwie złp. 1000 jako nagrodę w gotowiźnie lub w medalu za najlepsze zadanie z historji polskiej.» Poprzednio zaś rzekł prezes: «Ile jest przykrem i bolesnem widzieć ziomka każącego dobrą sławę swego narodu, tyle pociesza i rozrzewnia przykład obywatelskiej gorliwości i ofiar.» Pierwsza część tej apostrofy lubo nie wymienia osoby, do której się to stosuje, jednakowoż łatwo było ją odgadnąć, jakoż wszyscy z obecnych na posiedzeniu, i kto tylko czytał gazetę każdy wpadł na myśl, że Niemcewicz mówi tu o jenerale wojewodzie Krasińskim.

Dnia 5 zjechał minister stanu Stefan Grabowski, oraz osoby składające jego kancelarję.

Nie możemy z pewnością wiedzieć jakie będą szczegóły koronacji i dlatego nie powtarzam tu tysiącznych wieści o tym obrzędzie, o posłach zagranicznych, którzy mają zjechać, o gratyfikacji dla urzędników itd.

Z wielkim pośpiechem pracują nad ukończeniem nowego mostu na galarach; przytyka on do ulicy Spadek, jest kształtny i stanie się rzetelnem dobrodziejstwem dla miasta i przybywającym z ciężarami z powodu łagodnej pochyłości ulicy. Cesarz pierwszy po nim przejedzie, dwór i urzędnicy przy rogatkach powitają króla Oitd. czekujemy na program wjazdu. Metzel, ów twórca tylu piękności ogrodu Zofijówki, zatrudnia się stawianiem mostu.

Wielkie czynią się przygotowania na przyjazd N. Pana. Cieśle, mularze, stolarze, malarze i inni rzemieślnicy są chwytani i przepłacani. Komisja skarbu zaasygnowała dotąd trzema razy 420.000 złp. Pośpiech, z jakim pracują, aby wszystko na oznaczony czas ukończono, sprawia, iż każdą rzecz w dwójnasób, a nawet i więcej płacić należy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieła Jana Kochanowskiego. Kraków 1882, nakładem K. Bartoszewicza. 4 tomy. Cena 3 złr. 20 ct.

Pisaliśmy już o dwóch pierwszych tomach tego wydania, porównywując je z wydaniem Altenberga. Zdanie nasze znalazło odgłos w całem dziennikarstwie, uznającem wydanie Altenberga za prosty przedruk Turowskiego i oddającem pochwały staranności i sumienności drugiego wydawcy.

Tom IIIci Kochanowskiego w wydaniu p. Bartoszewicza zawiera Psałterz Dawidowy. Arcydzieło to Jana czarnoleskiego, którego według Mickiewicza każdy Polak powinien uczyć się na pamięć, wydał p. B. według wydania uczonego Rzepeckiego, podając jednak warjanty i w niektórych miejscach poprawiając tekst na podstawie wydań pierwotnych.

Tom IVty tego wydania objął łacińskie pisma Kochanowskiego w mistrzowskich przekładach Syrokomli i Brodzińskiego. Słusznie wydawca uczynił przywracając porządek Elegij, poplątany przez Brodzińskiego. Uczynił to widocznie z oryginału, gdyż wskazówki Syrokomli skutkiem błędów drukarskich jeszcze więcej gmatwają. Pod każdą elegją wydawca położył literę B. lub K. oznaczającą czyj przekład czytelnik ma przed sobą. Po elegjach idą fraszki (foricoenia), Epinicion, pieśni liryczne, ody i rymy rozmaite—wszystko w tłomaczeniu Syrokomli.

Do tomu IVgo dodany jest życiorys pióra wydawcy. Praca to z natury rzeczy kompilacyjna, ale widać po niej, że autor nie lekceważył najdrobniejszego życiorysu poety, najlżejszej o nim wzmianki. Skutkiem tego objęcia całkowitego materjału powstał życiorys zestawiający krytycznie fakta życia Kochanowskiego. Punkta sporne wyjaśnia autor w przypiskach, szczęśliwie polemizując z biografami. Odrzuca mianowicie podanie o pokrzywdzeniu poety na majątku przez rodzeństwo, powątpiewa o jego zawodzie wojskowym, pierwszy wreszcie wyjaśnia powstanie „Dryas zamechskiej“ i „Pana zamchanego,“ co nam bliżej rozświetla stosunki poety z Zamojskim, a ztąd i podanie o kasztelacji połanieckiej. Polemika z Przyborowskim o rzekomą „niechęć“ Zygmunta Augusta do poety jest dość ciekawą, bo wyjaśnia jak się u nas piszą biografje. Byle frazes wyrwany z pism poety służy jego biografom do tworzenia niebywałych faktów, ku czemu pomaga bujna fantazja i dziwna słabostka przekręcania naturalnego znaczenia wyrazów. Autor słabostce tej nie podlega, woląc chodzić po powierzchni ziemi, niż bujać w obłokach. Ztąd życiorys Kochanowskiego wychodzi z pod jego pióra oczyszczony z fantazyj i śmiałych a niczem nieudowodnionych przypuszczeń.

Portret poety według pomnika w Zwoleniu i facsimile adresu Kochanowskiego na liście do Fogelwedra — stanowią cenny dodatek do tego najlepszego z dotychczasowych wydań dzieł ojca naszej literatury.

L.

Leopold Hauser. Monografja miasta Przemyśla.. Przemyśl 1883 in 8vo str. 274, cena 1 złr. 80 ct.

Jestto jedna z lepszych monografij miejscowości, jakie w ostatnich czasach się ukazały. Pan Hauser dał nietylko opis dzisiejszy Przemyśla i jego historję, ale opisał skrzętnie archiwa przemyskie, skreślił dzieje biskupstw obu obrządków i zebrał ciekawe daty statystyczne tyczące się gmin wyznaniowych, władz i urzędów, szkół, służby zdrowia i zakładów publicznych.

Archiwa przemyskie opisał już w r. 1868 Dr. B. Dudik, od tego jednak czasu wiele zmieniły się stosunki, księgi miejskie np. przechowywane w sądzie oddane zostały Magistratowi, który połączył je z archiwum miejskiem, starannie obecnie uporządkowanem i skatalogowanem. Temu archiwum poświęca autor najbardziej szczegółowy opis, nad innemi archiwami: biskupstw, kapituł mniej się zastanawiając. I rzeczywiście archiwum miejskie przemyskie warte jest bliższych studjów, jako jedno z najstarożytniejszych. Księgi ławnicze np. rozpoczynają się od r. 1402, należą zatem do najciekawszych źródeł do dziejów miast Czerwonej Rusi. Dokumentów pergaminowych posiada archiwum 85 – najstarszy z nich Karola IV. datowany z Pragi 1356 jest kopią tylko oryginalnego dokumentu sporządzoną w XV. w. Drugi oryginalny już pergamin pochodzi od Władysława Warneńczyka, datowany z Budy 1443 r. — najświeższy nosi podpis króla Jana IIIgo. Pomiędzy pergaminami cechowemi najstarszy cechu szewskiego nosi datę 1386 r. Rzeźnicy posiadają dokumenta od r. 1400, kowale od r. 1471 itd.

Przystępując do ksiąg wójtowskich ławniczych daje autor przedewszystkiem pogląd na dawną organizację władz miejskich w Przemyślu, w taki też sposób zapoznaje dalej z urzędem radzieckim. Inne księgi mieszczą rachunki miejskie, między któremi uwidocznione są wydatki na przyjęcie króla, na zabezpieczenie miasta od Tatarów, Kozaków, Szwedów; dalej są tak zwane księgi okolicznościowe, między któremi znajduje się kronika polska kończąca się na Wład. Jagielle, zwanym przez kronikarza „dux Johel." Szkoda, że autor bliżej wartości tego kodeksu nie określił, a tylko zaciekawił.

Dokumenta papierowe przynoszą ciekawe szczegóły do dziejów żydów w Polsce, do historji biskupstwa przemyskiego, posiadłości miejskich, cechów, a wreszcie do dziejów miasta i magistratu. Są tam także wypisy z konstytucyj koronnych, lauda radzieckie, lauda sejmików wiszeńskich, materjały do statystyki Przemyśla itd. itd. Dowiadujemy się także z tego rozdziału, że magistrat przemyski przygotował spis dokumentów zawartych w jego archiwum, odnoszących się do czasów Jana Sobieskiego, a to z powodu nadchodzącego jubileuszu.

Skrzętnie zebrane dzieje starożytnego grodu, objaśnione są kopją z obrazu przedstawiającego oblężenie 1657 r. planem Przemyśla z drugiej połowy XVII. wieku, oraz widokiem Przemyśla z tychże czasów.

Dział statystyczny zasługuje także na pochwały, jako dający pełny obraz obecnego stanu miasta. Dowiadujemy się z niego, że ludność Przemyśla wynosi według ostatniego spisu osób 20667, między któremi jest 3 literatów, a 10 malarzy i rzeźbiarzy, licząc w to jedną kobietę! Na cele oświaty daje gmina 8345 złr. oraz 3785 na subwencje dla zakładów naukowych.

Do ułożenia dziejów biskupstwa rzym. kat. służyło autorowi dzieło: ks. Pawłowskiego (Series episcoporum). Biskupstwo obrz. greckiego zbyt pobieżnie traktowane; autor odsyła do pracy ks. Dobrzańskiego. Dyecezja rzym. kat. posiada 822.018 wyznawców, dyecezja gr. kat. 941.320.

Z rozdziału o szkołach przytaczamy jeszcze cyfr kilka. Przemyśl ma gimnazjum z ogólną liczbą uczniów 660 (polaków 419, rusinów 226). Seminarjum nauczycielskie żeńskie liczy 161 słuchaczek (rzym. kat. 116, gr. kat. 80, izrael. 15), do szkół ludowych uczęszcza 1986 dzieci.

Pierwszą drukarnię założył Adam Klein w r. 1751, pierwszą księgarnię Karol Wenzel r. 1825. W r. 1790 wychodziło pismo: „Zabawki literatów w kompanji pożytecznie bawiących się."

Wogóle praca pana Hausera zasługuje na najszczersze poparcie. Gdyby znaleźli się ludzie, którzyby z takiem jak on zamiłowaniem, skreślili monografję innych miast naszych, nauka zyskałaby na tem wiele.

B.

S. Bezstronny. Przestroga Historji. Chronologiczny rys prześladowania słowian przez Moskali..... dla południowych słowian i panslawistów. Lwów 1882 in 8-vo str. 129.

Trudno pisać recenzyję dziełka tego, będącego treściwem zebraniem faktów znanych i udowodnionych. Należy przyznać autorowi zasługę ich umiejętnego zestawienia i ożywienia dat i cyfr szczęśliwą formą opowiadania. Zwracamy uwagę na ocenę polityki Aleksandra Igo, gdyż dotąd istnieją naiwni mający go za oswobodziciela. „Najchytrzejszy z greków," tak zwał Napoleon Aleksandra, zawrócił głowę krótkowidzącym politykom, dla których słodkie jego słowa zakrywały fakta, kazały zapominać o ks. Konstantym, Nowosilcowie, łamaniu konstytucji, niedotrzymywaniu przyrzeczeń. Również trafnie ocenił autor Wielopolszczyznę, powstanie 1863 r. itd.

Z drugiej strony dziełko jest nieco przeładowane faktami. Taki np. zamach Berezowskiego, sprawy Chiwy, traktat cypryjski — są to sprawy nieobjaśniające rzeczy, należące wprawdzie do historji, ale nie do historji prześladowania słowian przez Moskali.

Praca Bezstronnego jest bardzo na czasie, szkoda tylko, że autor nie wydał jej w paru językach słowiańskich lub też ogólnie znanych. Ma ona i w języku polskim swoje znaczenie, ale ileż by większego nabrała, gdyby mogli ją czytać ci, dla których głównie jest przeznaczoną. Więcej bowiem jest „słowian południowych" niż polskich „panslawistów."

B.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Ruch muzyczny.

(Wieczorek towarzystwa muzycznego).

Najświetniej wykonanym numerem programatu ostatniego wieczorku towarzystwa muzycznego była bezzaprzeczenia deklamacja pana Szymańskiego. Ulubiony artysta wygłosił z humorem lekkim i wytwornym dwa pełne dowcipu poemaciki Rodocia. Większej części muzykalnych produkcyj brakło za to nietylko owej wytworności wykonania, ale nawet racji publicznego występu. Amatorki solistki, śpiewaczka i fortepianistka, aż nazbyt są amatorkami, ażeby nad szczegółową oceną ich produkcji się rozpisywać. Ponieważ jednak amatorka śpiewaczka jest uczennicą towarzystwa, nie można zatem powstrzymać się od uwagi, iż niezdrową musi być szkoła dozwalająca uczennicy oddychać w środku słowa i frazy, robić na każdym niemal tonie *crescendo* i *decrescendo*, nie mówiąc już o wadliwej emissji głosu. Nowo zaangażowany wiolonczelista pan Zink wykazał znaczną biegłość na swym instrumencie, odegrał bardzo ładnie andante z koncertu Molique'a, gawotowi Poppera brakło jednak lekkości i elegancji, bez której ta pospolita dosyć kompozycja jeszcze słabszą się wydała.

Pamiętamy, iż przed kilku laty postawiono w towarzystwie muzycznem wniosek, ażeby każdy chór wykonywany na wieczorkach trwał przez pewną ograniczoną ilość minut. O ile żarcik taki był w swoim rodzaju oryginalnym, o tyle dziwić się należy, iż chór towarzystwa nic nad program zaśpiewać nie umie i opuszczoną z powodu nieprzewidzianych (?) naprzód okoliczności Wiliję niczem innem zastąpić nie był w stanie. Chór Webera zaśpiewany był nienajgorzej, chociaż żal nam było śpiewających, którzy dla 16 najwyżej taktów we fraki ubierać się musieli.

W kwartecie Haydna (d. dur) troszkę zanadto dominowały pierwsze skrzypce, zanadto śpieszyła wiolonczela, za mało czysto odzywały się drugie skrzypce i altówka, a i tempo w ostatniej części było za prędkie. Czy nie lepiej grać trochę wolniej a czysto?

Jan Gall.

Przegląd teatralny.

Hannibal ante portas czyli *Świdrzykowska jedzie*, komedja w jednym akcie przez Marjana Gawalewicza. *Wujaszek Alfonsa*, komedja w jednym akcie przez St. Dobrzańskiego. *Nieszcześliwi*, komedja w jednym akcie. *„Bąk za bąkiem,"* komedja w 4ch aktach Schönthana.

Na partykularzu mieszka p. Grzegorz, były obywatel ziemski wraz z żoną Salomeą, córką Mińcią i siostrzenicą Felcią. Mińcia i Felcia zauważyły, że panowie Ludwik i Seweryn, pierwszy jurysta, drugi urzędnik kolejowy mogliby być bardzo przyjemnymi mężami. Postępowanie wreszcie obu tych panów dowodzi, że chętnie zamieniliby żywot kawalerski, gdyby panny Mińcia i Felcia chciały im ten zamiar ułatwić. Na nieszczęście p. Salomea nie może żyć bez „scen" w domu, a gwałtowność jej języka nie oszczędza obu konkurentów i każe im opuścić niegościnne progi. W stanowczej chwili ratuje położenie p. Antoni, były sąsiad p. Grzegorza, rozpuszczając wieść, że Świdrzykowska jedzie. Świdrzykowska ta, to genjusz swatów: gdzie się ukaże porywa młodzież dla swoich córek, siostrzeniec i pupilek; tam, gdzie stąpnie nogą, kwiat kawalerstwa na lat parę usycha. Zapowiedź wkroczenia podobnie niebezpiecznego nieprzyjaciela mityguje p. Salomeę, Ludwik

i Seweryn są łapani, złapani, a w pięć minut i narzeczeni. Taka jest treść komedyjki p. Gawalewicza.

Pomysł autora bardzo dowcipny i oryginalny nie został należycie wyzyskany. Drobiazg taki potrzebuje na scenie dużo ruchu i dowcipu, a tego właśnie brakuje komedji. Jest w nią wplątana jedna bardzo dobrze uchwycona postać nauczyciela muzyki, Pantaleona Kica, i około niej też gromadzi się uwaga słuchaczy. Ale jedna dobra postać i to postać drugorzędna, będąca bez wpływu na akcję, to nieco za mało. W każdym razie „Hannibal ante portas“ ma swoje zalety, a uważany jako jedna z pierwszych prac autora dla sceny, może wiele zapowiadać.

„Nieszczęśliwi“ są prawdopodobnie jakąś przeróbką z niemieckiego, bo choć wszystkie osoby noszą nazwisko Jankowskich, czuć jednak w tem co myślą, robią i mówią Schultzów albo Müllerów. Pan Piotr Jankowski zrobiwszy majątek w Ameryce powrócił do kraju, a chcąc grosz zapracowany pozostawić nieznanej rodzinie, ogłosił w gazetach swój nekrolog z zawiadomieniem, że wykonawca woli zmarłego jest upełomocniony do przelania majątku na rzecz najnieszczęśliwszego ze spadkobierców. Zjawiają się przeto w oznaczonym terminie różni pretendenci i pretendentki, cała galerja typów mniej lub więcej śmiesznych i poczciwych. Pan Piotr bada każdego z osobna, ztąd dla artystów pole do popisania się. Sensu w tem wszystkiem trudno się dopatrzeć, ale komedja przy dobrej grze może mieć powodzenie, łubo przypomina fakturą naszą szopkę noworoczną.

Przed „Wujaszkiem Alfonsa“ należy być z wielkim respektem, bo choć to farsa, ale farsa genialna, napisana ze znakomitą znajomością rzeczy, z humorem takim, jakiego próżnobyśmy w polskim repertuarze szukali. Rzecz się dzieje podczas pobytu cesarza we Lwowie. Pan Alfons, od trzech miesięcy żonkoś, zaprosił do siebie na mieszkanie dwóch kolegów Brzękalskiego urzędnika pocztowego i Filigranowskiego konceptowego praktykanta c. k namiestnictwa. W chwili kiedy przygotowuje dla nich pokoje przybywa wuj, członek deputacji. Alfons go zaprasza, bo choć wuj dziwak, ale bogaty i bezdzietny. Wuj się zgadza zapewniwszy się dwukrotnie, że małżeństwo niema dzieci. Kiedy zaś opuszcza mieszkanie udając się po rzeczy, przybywa Brzękalski, ale nie sam lecz z żo[illegible] Lolem“ w poduszce, a tuż za nim Filigranowski, również nie sam, lecz z [illegible]anią Szynderską, separatką „hrabianką z domu,“ żadającą gościnności. Zaledwie gospodarstwo ochłonęło z przerażenia na widok tylu gości, wtacza się szlachcic z Sanockiego Szynderski, mąż „hrabianki“ pewny, że zajeżdża do hotelu „pod Tygrysem.“ W nieobecności Alfonsa wszyscy go biorą za oczekiwanego wuja, on zaś wszystkich traktuje jak lokajów, a panią domu jako pokojówkę. Najzabawniejsze qui pro quo k[illegible]ęzy się wejściem nowego wuja, p. Millera, nauczyciela, który jest wprawdzie wujem, ale pana Alfonsa Gąsiorowskiego nie Alfonsa Kaczorkowskiego. Prawdziwy wuj przybywa i przez rozłoszczonych Filigranowskiego i Brzękalskiego jest formalnie wyrzucony. Niepodobieństwo zresztą streścić tę farsę, pełną niesłychanego humoru, a kończącą się naturalnie ogólnem wyjaśnieniem i niespodziewanem pogodzeniem się Szynderskich. Powiedzieć nawet można, że za dużo jest ruchu, życia i humoru w tej pracy wcześnie zgasłego komedjopisarza. Słuchacz nie może często połapać się, uwaga jego się rozrywa, nie jest w stanie śmiać się z nowego dowcipu, kiedy poprzedni jeszcze świeżo ma w pamięci. Trzeba mieć silne płuca, aby wytrzymać nieustanne ataki śmiechu. !

Przedstawiona wreszcie w ostatnią sobotę komedja Schönthana: Bąk za bąkiem (Schwabenstreich), byłaby dobrą farsą, gdyby nie dwa pierwsze akta, tak nudne i mało dowcipne, jakie się nawet nie zawsze niemcom zdarzają. Za to ostatnie akty są dowcipne, a choć to nie humor francuski, choć komedja nie może się obejść bez wpadnięcia w farsę i bez zimnych okładów na głowę, zawsze jednak ma swoje wysokie przymioty. Dobra postać rewolwerowego pismaka, bardzo zgrabnie pomyślana scena oświadczyn — zasługują na wszelkie uznanie.

W „Hannibalu“ p. Arwin stworzył typ wyborny muzyka. W „Nieszczęśliwych“ wszyscy artyści grali z werwą i poprawnie, grę jednak p. Frenkla należy od innych wyróżnić. Baletnik Charles Janin, mówiący z francuska po polsku, śmieszny w ruchach i całem wzięciu się—był jednak w grze p. Frenkla silnie dramatycznym, gdy ze łkaniem wspominał o biednych swoich dzieciach. Wyjść z tego połączenia płaskiego komizmu z dramatycznością było nie lada zadaniem. — Wujaszka Alfonsa grano koncertowo, zasługują na wyszczególnienie pp. Wojdałowicz (Miller), Werner (Szynderski), Frenkel (Brzękalski) i Arwin, grający Tonia Narwańskiego, sprowadzającego jeszcze większe zamieszanie ciągłem wpadaniem na scenę i szukaniem „czegoś polskiego.“ — W „Bąku za bąkiem“ gra również szła poprawnie; wyróżniali się pp. Wojdałowicz, Frenkiel, Sobiesław i Szymański. W sztuce tej ujrzeliśmy też pierwszy raz na scenie p. Piotrowską. Trudno sądzić z pierwszego występu, ale sympatyczna powierzchowność połączona z niecałkiem wreszcie uzasadnioną śmiałością ruchów i silnym a dźwięcznym głosem — dosyć zapowiada. !

B.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— *„Pan Tadeusz“ A Mickiewicza* w niemieckim przekładzie Zygfryda Lipinera, autora poematów: „Der entfesselte Prometheus„ „Renatus“ i „Buch der Freude“ pojawił się w Lipsku u Breitkopfa i Härtla.

— *Zbiorowe wydanie powieści J. I. Kraszewskiego* mające objąć wszystkie powieści tego pisarza od r. 1863 podejmuje p. Glüksberg w Warszawie. Rocznie pojawi się 20—22 tomów.

— Przewodnik naukowy i literacki zawiera początek pracy p. *Marjana Sokołowskiego*: Badania archeologiczne na Rusi galicyjskiej.

— W temże piśmie pomieścił *Dr. Hirschberg* artykuł: Koalicja Francji z Jagiellonami.

— Revue potit. et littéraire ogłasza „małe poematy prozą“ *Turgeniewa*.

— „Biesiada literacka“ zapowiada wydanie dzieła: „Złota przędza poetów i prozaików polskich.“ Co za czuły tytuł..... dla wypisów.

— *Ryszard Martens* wydał przyczynek do dziejów wojny północnej p. t. Die Absetzung des Königs August II. von Polen (Gdańsk 1882).

— P. *Michał Hen. Dziewicki* przełożył na język angielski Konrada Walenroda.

— Ciekawy artykuł pióra *Leopolda Paloczy* o literaturze perjodycznej węgierskiej pomieszcza „Unsere Zeit.“

— *Elfrieda*, dramat *Pawła Heysego*, ma być przedstawiony w bieżącym miesiącu na scenie dworskiej w Monachium.

Z dziedziny malarstwa rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

— Na cmentarzu Montparnasse w Paryżu odkryto 19. b. m. pomnik na grobie *Perrauda*, rzeźbiarza. Jest on dziełem *Vandremera* z biustem *Thomasa*. Mowy mieli wygłosić *H. Delaborde* sekretarz akademji sztuk pięknych i *Paweł Dubois* dyrektor szkoły sztuk pięknych.

— Nabładem Calmana-Levy wyszło w Paryżu dzieło: „Les Revolutioneres de la Musique. Lesueur, Berlioz, Beethoven, Wagner. La musique russe.“

— *Hipolit Lazerges* wydał w Algerze dzieło: „La Forme et l'Ideal dans l'art.“

— Wyszło w Paryżu dziełko: „Manuel d'histoire do l'art. Autorem jest *A. Destremeau*.

— Akademja sztuk pięknych w Paryżu wybrała sześciu członków korespondentów. Są nimi: *Józef Geef* belgijski rzeźbiarz, *Zumbusch* rzeźbiarz z Wiednia, *M. Honnel* rzeźbiarz z Drezna, *Ryszard Hunt* architekt z Nowego Yorku i *M. Jakoby* sztycharz z Wiednia.

— „Pięć zmysłów“ *Makarta* wystawiono w Paryżu w panoramie Reischoffen.

— „Biesiada literacka“ doda prenumeratorom gratis portrety: *Skargi, Szopena* i *Syrokomli* — i to portrety kolorowe. Winszujemy gustu i połączenia Skargi z Syrokomlą.

— „Sobieski pod Wiedniem“ — taki nosi tytuł tragedja (!) polska napisana przez K. K. a grywana w Ameryce.

— *Węgrzy postanowili uwiecznić pomnikiem* swą *walkę o niepodległość w r. 1848* a przedewszystkiem zdobycie Budy. Magistrat miasta Budapesztu ofiarował na ten cel 25.000 złr. Piękny początek!

— *Feuerbacha obraz „Sąd Parysa“* zakupił jakiś miłośnik sztuki z Hamburga i ofiarował tamtejszej galerji.

— *Zbiorowa wystawa obrazów Almy Tademy* otwartą została w Londynie dnia 1 b. m. w Grosvenar Gallery. Liczba obrazów dochodzi 200.

— *Antoni Rubinsztein* napisał muzykę do baletu p. t. „Winnica,“ który w Petersburgu ma być przedstawiony.

— Przed Parthenonem na Akropolis w Atenach znaleziono d. 6 listopada b. r. przy usuwaniu gruzów *posąg Hery albo Afrodyty*. Równocześnie nadeszły wiadomości z Epidauros, że nakoniec odkryto świątynię Asklepiosa mającą bogate rzeźby en relief, których motywem walki Kontaurów. Odzyskujemy więc coraz więcej cennych pamiątek z świetnej przeszłości Grecji.

— *P. Juljusz Mien* urządził *trzecią wystawę szkiców* w sali 1 piętra hotelu Drezdeńskiego w Krakowie.

— Na *wystawę Towarz. Przyj. Sztuk Pięknych* nadeszły nowe obrazy: *Bierkowskiej*: „Przy studni“ i „Głowa wieśniaczki,“ *Kochanowskiego* „Cztery pory roku“ i krajobraz „Wieczór“ i *Daczyńskiego* „Portret damy.“

Do tego Nru dołącza się: Figura na Krowodrzy, rysunek Hipolita Lipińskiego.



...to w Litogr. A. Pruszyńskiego w Krakowie

FIGURA NA KROWODRZY

rysunek Hip. Lipińskiego